NUMER 20. DNIA 28. MAJA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Od czarnej rzeszy.

(Majer Balaban: Żydzi lwowscy na przełomie XVI i XVII w. Praca odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie im. H. Wawelberga, przez wydział filozoficzny uniwers. lwowskiego. Lwów 1906. Księgarnia H. Altenberga.)



„Szkolnik wzywający do modlitwy“ (z dzieła p. Balabana o Żydach lwowskich).

Dziwny świat, nieznani ludzie. Od wieków pośrodku społeczeństwa polskiego żyjący, tysiącznymi węzłami związani z gościnną dla siebie ziemią, a jednak wyodrębnieni z niej, obcy jakoś, nie synowie, ale raczej „*fruges consumere nati*“ — zjadacze owoców, bez pracy oracza i znoju żniwiarzy. Nikt ich nie zna, ale za to oni wszystkich znają, nikt się nie interesuje życiem tej czarnej masy żydowstwa, jej dziejowymi kolejami, a po za sferą stosunków prawnych, za poczuciem klęski narodowej, społecznej, nikt żyda nie podglądnął wówczas, kiedy on nie jest ani handlarzem, faktorem, plutokratą, — ale żydem, u siebie w domu, dla siebie, dla swojej rodziny, kahału, dla żydowskiego narodu, cywilizacji, a nawet kultury.

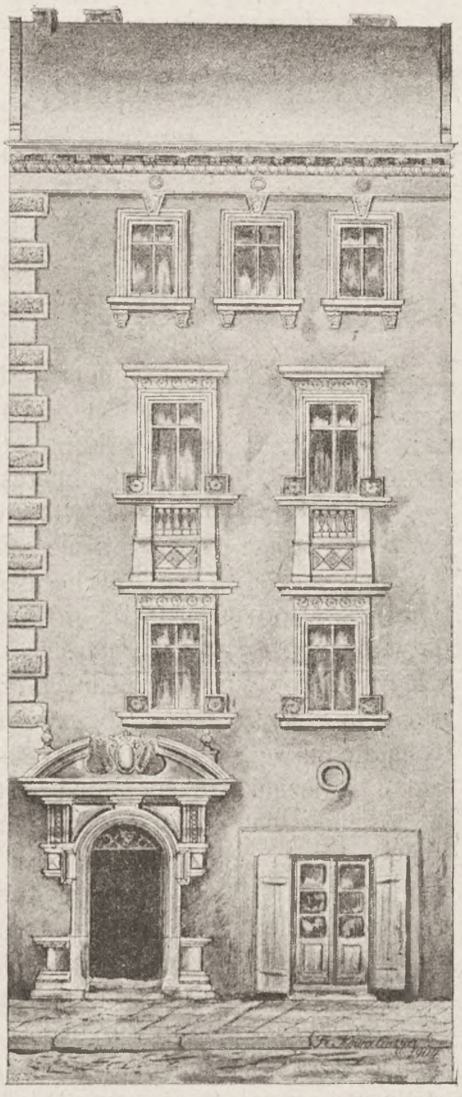
A tak od szeregu wieków stają wobec siebie i przeciwko sobie dwa obce sobie żywioły na jednej ziemi, w jednym domu prawie żyjące. Pierwszy z nich nie zna drugiego, ale drugi za to jak najlepiej zna świat go otaczający i znajomość tę umie wykorzystać w sposób mistrzowski. Mimo mnóstwa interesów jedna tylko cecha wspólna łączy, a właściwie rozdziela te dwa odrębne światy: wzajemna niechęć.

Dotychczasowa historjografja żydów polskich chromała głównie na jednym punkcie. Pisaną była przez chrześcijan lub żydów, ale zawsze na podstawie jednego materjału archiwalnego, z zakresu publiczno czy prywatno prawnego, ale zawsze procesowego. Stąd cała literatura z historji żydów przepełniona jest rekryminacjami i rasowością. W przedstawieniu pisarzy chrześcijańskich żyd jest na ogół pijawką i wyzyskiwaczem, u pisarzy żydowskich ofiarą i męczennikiem. Społeczności żydowskiej, taką jaką ona była dla siebie, jej organizacji, życia, historji nikt z małymi wyjątkami, nie podał, a stąd po za jątrzącą sferą kwestji spornych, samo społeczeństwo żydowskie było zupełnie nieznane, a jego wartość wewnętrzna z góry przesądzona.

Ten nastrój historyczno-polityczny, trzeba uwzględnić przedewszystkiem, gdy się weźmie do rąk poważne, rozmiarami i sumą włożonej weń pracy imponujące dzieło pana Majera Balabana. Kto w niem poszuka historji żydów lwowskich o ile się ona objawiała w stosunku do otaczającego ich świata chrześcijańskiego, znajdzie tam wszechstronne, a sumienne wyzyskanie materjału bibliograficznego i archiwalnego, który stał autorowi do dyspozycji. Organizacja prawna żydów nakazana przez Rzeczypospolitą, ich upośledzenie w ustroju państwowym i przywileje, ograniczenia i wyłomy czynione w nich, stosunki handlowe,

zarobkowe, stan żydów lwowskich na przełomie wieku XVI i XVII, ich warunki bytu i rozwoju na gruncie lwowskim, wszystko to opracował pan Balaban w sposób ściśle naukowy i, co bardzo ważne, bezstronny, o ile to tylko było możliwe. Ta część dzieła p. Balabana, której obszerniejsze omówienie z rozmysłu pomijamy, jest z wyjątkiem paru nieuniknionych i nieistotnych zresztą pomyłek bardzo dobrą monografją, opartą na głębokiej znajomości przedmiotu i wybiegającą porównaniem, historyczną dedukcją daleko poza stosunki lwowskie, stąd też przedstawia szerszy interes jako jeden, naukowo opracowany rozdział historji żydów polskich w ogóle.

Ale dopiero poza tą archiwalną swoją stroną otwiera dzieło p. Balabana zupełnie nieznany i niezmiernie ciekawy świat. Świat bajeczną fantazją wschodu drgający, tęsknotą ziemi świętej owiany, w nieproduktywnych zagadnieniach talmudu tkwiący a taki mimo to niesłychanie praktyczny, żelazno konsekwentny, taki brudny, a taki mimo to wobec swego Jehowy czysty, taki ciemny, a jednak tylu uczonych w talmudzie liczący, powag światowej między żydami sławy.



Kamienica dra Simchy Menachem nadw. lekarza króla Jana III. przy ul. Blacharskiej 19. (z dzieła p. Balabana o Żydach lwowskich).

Z nagrobków na starym cmentarzu żydowskim, z zaułków Gheta w zarwanicznym kącie w mieście i Gehenny nędzy a brudu na przedmieściu krakowskiem wstają w opowiadaniu p. Balabana postacie wielkie, już choćby dlatego, że ich pamięć dotąd przetrwała w lwowskim Izraelu, uczone, bo na nich się powagi talmudyczne powołują, niezwykłe, bo legenda je już otoczyć zdołała w myt poetyczny.

Poezja w czarnej rzeszy handlarzy i faktorów! A jednak czar wschodniej fantazji owionie czytelnika postacią „Złotej Róży“, wyidealizowanej pięknej postaci niewieściej, która żyje dotąd w ciemnym tłumie żydowskim i żyje nagrobkiem z XVII wieku na cmentarzu. A ten nagrobek dziwną prawi historję. „Tu pochowana niewiasta książęca, potężna pani, Róża, córka Jakóba — nad nią ja płaczę, gdyż z nią runęły w domu Jakóbowym radość i wesele. Korona upadła a zniknęła pomoc. I jakoby świecznika ramiona złamane... Królowie ją widzieli, a książęta przed nią stawali...“

I czar poezji owładnie, gdy w sobotę pohamanową w starej bożnicy na ul. Blacharskiej szkolnik dobędzie manuskryptu starej, również z XVII wieku, pieśni Izaaka ben Samuela Halewy i na wspomnienie długiego a kosztownego procesu o bożnicę Izaaka Nachmanowicza, zanuci na pewną, właściwą nutę:

„Wywyższam Cię o Wiekuisty, gdyż otwarłeś podwoje tej świątyni a wrogom moim nie użyczyłeś radości z mego nieszczęścia...

„Chwała Ci Panie na wieki.

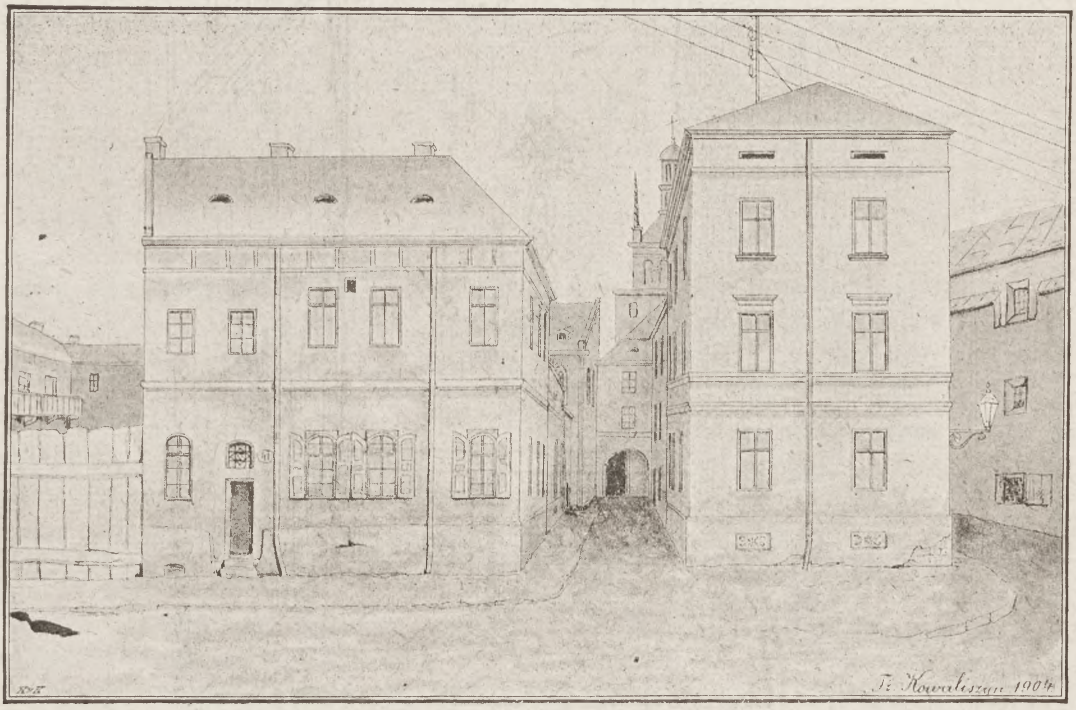
I ponura groza duszę obejmie na wspomnienie przysięgi żydowskiej:

„... oby nas Bóg zatłumił, który niebo i ziemię, powietrze i zioła stworzył i aby nas Pan Bóg zatracił, który w korabiu w czasie potopu ośmioro ludzi wyzwolił, aby nas ten Bóg zatracił, który pięć miast Sodomę, Gomorę ogniem piekielnym spalił...

„A jeżeli niesłusznie przysięgamy, aby nas Bóg zatracił, który Faraona w czerwonym morzu starł... bodaj nas ziemia pożarła, która Datana i Abirona pożarła i bodaj na nas przyszedł

trąd, który Namasza opuściwszy, na Jessego przeszedł...

A na tem egzotycznem tle wyrastają postacie żydowskie, które od czarnej rzeszy odcinają się wybitną i niezwykłą indywidualnością, tak samo zresztą, jak w każdem społeczeństwie. Tylko żeby się wybić ponad „niewierny“ i wzgardzony Z jego żydowskich zaułków wychodzili tacy ludzie, jak słynny dr. Simche Menachem, lekarz króla Jana III, którego tytuł między samymi żydami brzmiał ni mniej, ni więcej tylko „naczelnik, pan, książę i władca Simche, prezes sejmu żydowskiego“, a którego kamienica przy ul. Blacharskiej, z dużym smakiem architektonicznym



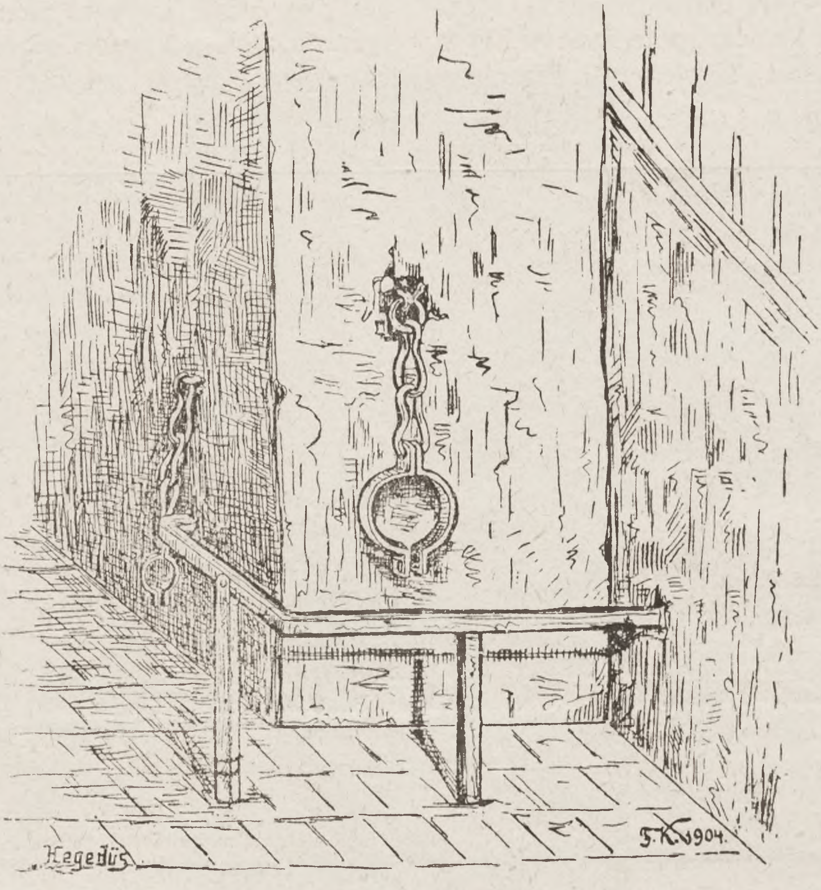
Gheto żydów lwowskich, ul. Boimów i Szklarska (z dzieła p. Bałabana o Żydach lwowskich.)

tłum, potrzebowali oni dziesięć razy silniejszej woli i mocy umysłu. Bo jeżeli taką Różę Nachmanową akta z XVII w. tytułują „obywatelką miasta naszego Lwowa“, w czasie kiedy żyd nie tylko obywatelem, ale wprost tylko był natrętem, z tego narodu, który ukrzyżował Chrystusa, to można sobie wyobrazić, jak bardzo się wyróżniała odnośna osoba ponad swój czas i ludzi. A takich jest bardzo wielu żydów, którym nie pogardliwy przydomek „*infidelis* — niewierny“ ale miano „pana“, „obywatela“, ba nawet „*generosus*“ — szlachetnie urodzonego, akta oddają. Rzecz to bardzo charakterystyczna, a dla tolerancji narodu polskiego wobec żydów znamienna, bo nie trzeba zapominać, że równocześnie w Niemczech np. żydzi nosili hańbiące, żółte naszywki na grzbiecie swoich chałatów.

Lwów jednak słynął jako „matka Izraela“. zbudowana, dopiero w ostatnich miesiącach uległa zniszczeniu. Z pośrodka żydów lwowskich wyszedł dalej słynny talmudysta, wspomniany już Izak ben Samuel Halevy, autor dzieła „Ture Sahav“ — „Złote podwoje“, o którym dziś jeszcze świadczy napis na bożnicy Nachmanowicza: „Tu modlił się nasz rabin i pan, autor „złotych podwoi“ i wielu innych „mężów sławnych a uczonych“.

Poza nimi czarna masa gminy żydowskiej miejskiej i przedmiejskiej, zorganizowana, z burmistrzami (parnassim) na czele, z władzą administracyjną, sądową, rytualną, dalej ze wszystkimi objawami życia społecznego i zbiorowego, gmina kupców, handlarzy, baryszników (faktorów), rzemieślników, konkurująca wytrwale a skutecznie z gminą chrześcijańską, nienawidząca ją i wzajemnie znienawidzona. Cała lwowska społeczność

żydów z jasnemi i ciemnemi swojemi stronami, z talmudystami i lichwiarzami, z „uczonemi“ i koniokradami a rozbójnikami z krakowskiego przynoszący. Dlatego też gdyby chodziło o wyznaczenie miejsca tej książce w literaturze historycznej, to miejsce owo byłoby bardzo wy-



Kuna (pręgierz) z przedmiejskiej synagogi (z dzieła p. Balabana o Żydach lwowskich).

przedmieścia przewija się w książce p. Balabana i drga pełnią życia reprodukowanego w sposób naukowy poważny, chlubę młodemi badaczowi sokie, między pierwszorzędnemi studjami nad życiem ubiegłych wieków.

Fr. Jaworski.

JÓZEF JEDLICZ.

HARFIARZE.

Wielki słoneczny sen im się marzy — —
Mroczną ścieżyną idzie ich tłum,
Harfiarzy —
Z harfami srebrnemi w dłoni;
Chmurne ich skronie, królewskie szaty,
Czoła owite polnymi kwiaty,
A struna tęsknotą dzwoni — —

Idą i idą z harfami w dłoni
Przez traw poszepty, przez kwiecia szum,
A struna tęsknicą dzwoni.

Za nimi w mrokach Widmo - ptak
Żałobnopióry
Strasznym chichotem śmieje się z góry,
Łopocąc w mroku skrzydłami:

— O głupcy, głupcy, kędyż idziecie?
Żadnego słońca niema na świecie —
Noc wieczna i śmierć przed wami! — —

I w śmiech złowróżbny tętni szlak — —

A oni idą z harfami w dłoni,
A struna tęsknicą dzwoni.

Poranny Wicher, jak anioł chyży,
Sypie im kwiecie z mogilnych krzyży,
Oczy osusza z łez —
Otuchą rzeźwi skroni ich bladość
I w struny leje smutek i radość
I słodko po strunach dzwoni:

— — Hen, gdzie błękitny świata kres,
Na opalowym zrębie ołtarzy,
Złocisty Słońca tron się tam żarzy,
Wid - Słońce włada na tronie.

Wzrok Jego cud - klejnoty!
Złocisto - świetlne, wężowe sploty
Tęczami winą Mu skronie! — —

Na prześwietlonych stopniach marmuru
Wieczyście Jasny się żarzy...

— — Tam, wśród błękitu, u Jego stóp,
Pod turkusowym stropem lazuru,
Tam waszym krokom kres lub grób...

I oto idą z harfami w dłoni,
A struna tęsknicą dzwoni — —

Za nimi w mrokach Widmo - ptak
Łopoce dziko skrzydłami:

— Haha! z padołu odwiecznych cieni
Idziecie w dale świtu spragnieni
I świt już świta nad wami!

Lecz, nim sięgniecie kresu tych dróg,
Nim w zórz wyśnionych wkroczycie szlak:
Naród wasz mieczem skrwawi wróg,
Wśród krwawych zdławi strumieni — —

Idziecie w pysze, świtu stęsknieni:
Lecz, gdy na powrót przygna was ból,
Już nie ujrzycie pszenicznych pól,
Gdy w dom wrócicie znużeni...

Idziecie w trudzie, świtu spragnieni,
Lecz miasta wasze spłomienił kat —
W łan rzucił piekło płomieni
I rola krwią się rumieni! — —
— — — — — — — — — — —
Zgon was przywita i zgliszcza chat,
Gdy w dom wrócicie znużeni!

A boży Wicher tęsknicą wieje
Po mrocznej błoni
I białe kwiaty ugorem sieje
I cuda szepce i dzwoni:

— — Naprzód! Z głowiszcza tęczowych barw
Zerwijcie pęk promieni!
Nawiążcie na drzewce harf — —
I z tych świetlistych cudo - strun
Nieście swym ludom wieści łun,
Niech lud się pieśnią płomieni!

Naprzód! Bez trwogi! Przez krew i trud!
Tą pieśnią zmarły wstanie lud!

I oto idą, idą harfiarze
W brzasku prześwitach, w wichru pogwarze —
Idą z harfami srebrnemi w dłoni,
A struna tęsknicą dzwoni — —

Z obrazków Duszy.

Zdarzają się Zośce takie dnie dziwne, w których cała jej dusza jest pogrążona w bajce jakiejś —, w ogóle w czemś dziwnem, niewypowiedzianem, kładącym na oczach tęczę.

Wszystko wtedy widzi Zośka „cudnem“ — nawet to, co w zwykłych normalnych razach nie zwraca jej uwagi.

Być może, że ją w takich chwilach nachodzi jakiś czar cudowny, czy sen, czy smętek, czy duma ze swoich uczuć i z poznania siły wewnętrznej. Nieraz przesuwa po czole ręką, czy naprawdę nie znajdzie jakiejś tęczy lub szkła zaklętego. Ów czar i owo dziwne wewnętrzne olśnienie trwa zazwyczaj jeden dzień tylko, niekiedy tylko godzin kilka. Zośka nazywa takie godziny „błogosławieństwem“ i po ich przejściu zastanawia się nad niemi długo, ale nie może inaczej ich nazwać i określić.

Najczęściej zjawiają się błogosławione godziny na wiosnę, podczas słodkich deszczów wiosennych i różowych, ślicznych błyskawic, bożych rysunków... Prawie zawsze po deszczu wychodzi na trawnik do ogrodu i czeka na przyjście swoich godzin.

Zdaje jej się wtedy, że czuje najwyraźniej, jak coś w jej duszy wiruje na kształt złotej gwiazdy, jak się w niej coś lśni —, czy może cudny sen odbywa, czy przebudzenie jasne, czy pieśń o życiu, złota, dziecinna, cudnooka, bo czuje wtedy, że umie na pamięć cudne bajki, nieopowiadane jeszcze przez nikogo...

Czuje — że musiała by te bajki opowiadać, ażeby kto tylko słuchać chciał! Siadła by wtedy koło takiego dobrego człowieka w swoim ogrodzie, na zadeszczonej trawie, obok kępy białych, przeczystych narcyzów i obok tego próżnego wazonka, któremu deszcz słodki wypogodził barwę i zrobił mu ją płomienno-różową, trochę namiętną a trochę smętną... Złożyła by ręce i rzekła do człowieka owego: słuchaj, — ja kocham wszystko, — ja kocham ciebie bardzo, — nie dlatego tylko, że chcesz słuchać mojej bajki... Ja mam w duszy boży znak i jakąś tajemnicę. Ty mię może i nie zrozumiesz, ale chcesz odpocząć, posłuchaj mojej bajki...

I brała by ze swej duszy kwiaty białe, korale czerwone, blaski, pocałunki i łzy wonne, i rzucałaby mu na twarz i na serce — i śmiała by się ze szczęścia, gdyby strąciła z czoła człowieka troskę, pijącą mózg a z serca grzech, pijący krew.

I podsuwała by mu słowami myśli, myśli cudne, jak rozkwitły sad, jak młoda śliczna twarz w słońcu, jak skiba ziemi, jak burza letnia, migotanie śniegów górskich, pieśni do Matki Boskiej. Ach! żeby tylko kto chciał słuchać jej bajki i żeby błogosławione godziny często przychodziły...

Bo wtedy tylko czyta słowa, nigdy niepisane, wtedy tylko wspomina rzeczy nigdy niekreślone, a istniejące tylko z mocy bożej poza światem, a czasem z woli bożej i w duszy ludzkiej.

Takie godziny nachodzą Zośkę również i w czasie snów powtarzających. Śni się jej wtedy, że jest dziką astrą i stoi na grzędzie przed jakimś domem, na którego progu ktoś opowiada rycerskie powieści, a w dali rozlega się krajobraz polskiej wsi w słońcu.

Czemu właśnie Zośce śni się jakaś cudowna legenda o duszy ludzkiej, czemu snuje w własnej duszy i step i ocean i łąki i światło, cud i przepaść, zamęt i smutek szeroki i duży, jak świat!...

Czemu do niej przychodzą błogosławione godziny, — czemu by chciała przynieść wszystkim „smutnym“ pełnemi rękami złote, śmiejące się, wyśnione szczęście...

Czy dobrze być taką, jak Zośka, czy źle?

Czy można dać wtedy ludziom i ojczyźnie „dobry uczynek“, czy tylko barwną bajkę dziecinną...

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy).

8-go kwietnia. Upływają dnie jeden za drugim a w życiu mem nie wiele zmian, sypiam tylko na materacu, nie królewskie to łoże co prawda, znużona usypiam, ale budzę się niedługo, gdyż dotkliwy ból rąk, nóg lub całego ciała odbiera mi sen; wstyd mi wyznać, alem nie spartanka, i ta cudza pościel dokucza mi; czysto tylko i żadnego robactwa nie ma, a to już wiele znaczy. Mimo jednak snu i lepszego odżywiania się, gdyż mam już mleko i bułki, ogromnie czuję się osłabioną, nieznośny zawrót głowy coraz to się powtarza, a gdy siedzę z robotą lub książką w ręku, ciemne jakieś mary latają mi przed oczyma, zdaje mi się, że widzę myszy, nietoperze, lub płazy, biegające lub pełzające w około mnie, chwilami jest mi niemożliwie nieznośnie — czyżbym miała obłęd?

W nocy już mię nie drażni zgrzyt ponury, gdy wiem, że to nie kajdany, ale za to dręczy mię tęsknota, a nauczyłam się już słuchać wszelkich szmerów podwórzowych i nieraz w nocy słyszę, jak dzwonią do bramy, potem zgrzyt zamku, wreszcie znów głuche kroki strażników. To nowy więzień, prowadzą go do kancelarji, potem cisza, znowu idą, tym razem na schody, otwierają drzwi, parę słów głosem przytłumionym — i cela zawarta; nowe istnienie odjęto od świata, znów jedna dusza pozbawiona swobody, rzucona na pastwę niepokoju i tęsknoty, strasznej, nieodegnanej tęsknoty.

Sąsiad mój z lewej strony sypia mniej jeszcze odemnie, późno w noc słyszę jego nerwowe kroki w celi, zwykle dopiero przed drugą w nocy, gdy ja wstaję, bo drażni mię widok policjantów, wchodzących do mnie w nocy, on się kładzie; luzujemy się więc, bo wtedy ja zaczynam chodzić; mam dziwną sympatję do mego sąsiada, chciałabym wiedzieć, kto on, za co cierpi; to jedno wiem, iż on dawniej odemnie tu przybył, ale nikt mi o nim nie powie nic więcej; dlaczego mi go żal bardziej, niż innych, nie umiem sobie wytłumaczyć. Gdy słyszę jego nerwowe chodzenie po celi, żal mi go serdeczny, sądzę, iż on bardziej cierpi od innych, że go większa dławi tęsknota i myślą szlę mu życzenia rychłej swobody.

Sąsiad z prawej strony nudzi mię, stuka mi często w ścianę, daje znaki swego istnienia, współ-

czuję jego zamknięciu, ale nie pragnę go ujrzeć, ani pytać nikogo o niego.

Wczoraj jakiś młody, świeży głos ładnym barytonem śpiewał w którejś celi: „Czego tęsknić za chatą, kiedy dobrze za kratą“.

— Cicho siedzieć tam — wołał strażnik — dość hałasu — i stukał pięścią w drzwi. Było to po szóstej. Śpiewak śpiewał dalej, a strażnik wciąż łomotał.

— No co, nie podoba się panu? — spytał więzień — może z innej nuty? — I głośno już na cały korytarz zabrzmiał: „A kolor jego jest czerwony, bo na nim robotników krew“.

Strażnik bardziej wołał i stukał.

— Mój panie — rzekł w końcu śpiewak — wolno Tomku w swoim domku, mnie wesoło, to śpiewam, panu gniewno, to łomocesz, co kto lubi.

— Brawo kolego! — zawołano z którejś celi — to mi zuch!

— Niech żyje wolność polityczna! — krzyczy jeszcze inny głos.

Strażnik pędzi do tych ostatnich drzwi.

— Cicho tam z tą waszą polityką! ja wam pokażę, jak naczelnika sprowadzę!

Tymczasem ktoś znów gwiżdże, jak kos.

— Chcecie ciszy, to dajcie nam lampy wcześniej — woła baryton. — My będziemy czytać, wy drzemać i będzie zgoda.

10-go kwietnia. Przez parę ostatnich dni miałam różne wizyty. Osłabłam i sprowadzono mi doktora, ale, pamiętając naszą pierwszą rozmowę, powiedziałam mu, iż jestem zupełnie zdrową i prosiłam grzecznie, by mi dał pokój. Widząc, iż nie można mię leczyć, polecił tylko przynosić mi jadło szpitalne: krupnik z mięsem, lub rosół i chleb biały.

Potem przyszedł p. starszy Makiewicz, donosząc, iż przysłano mi pieniądze i pytał, czy może życzę sobie czego. Prosiłam, by mi dano świece na noc i pozwolono w święto pójść do więziennej kaplicy; ani jednej z tych próśb spełnić jednak nie mógł.

Dziś rano Kudlig zapowiedział mi wizytę p. naczelnika. Z głosu i tonu jego zmiarkowałam, iż rzecz to niezwykła, by p. naczelnik tak się do więźnia fatygował.

— Niech pani powie o kaplicy — szepnął mi — to naczelnik może pozwolić.

O dwunastej przyszedł w asystencji Makiewicza p. naczelnik; Makiewicz został na korytarzu, naczelnik wszedł do celi.

Wysoki, szczupły, z siwą, krótko przystrzyżoną czupryną i takiemiż wąsami, zrobił na mnie miłe zupełnie wrażenie; wyglądał na wiarusa z pod Szypki lub Plewny. Jego szczera, otwarta twarz, budziłaby zaufanie, gdyby nie to, iż był naczelnikiem więzienia.

Owinięty w płaszcz wojskowy, wszedł, zdjął na powitanie czapkę i spytał:

— Pani?

Skłoniłam głowę.

— Przyszedłem pani powiedzieć, iż wczoraj złożono dla pani pięćdziesiąt rubli.

— Wiem o tem — odrzekłam — w danej chwili nic mi nie potrzeba, tembardziej, iż jeszcze są w kancelarji moje pieniądze z drogi.

— Pani jest cierpiącą — mówił naczelnik — może więc zechce pani mieć jakie możliwe dogodności, lepszy stół, może jakie owoce, może kawę, wino nawet; zwykle tego nie można, ale pani jest osłabioną, więc doktor przepisze jako kurację. Proszę, niech pani powie, co tylko można, to się zrobi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAZIMIERZ KRÓLIŃSKI.

W obronie kurhanów.

W tej części Polski, gdzie przez szereg wieków odbywały się nieustanne boje z najezdniczymi ludami, liczne do dziś widnieją na górach mogiły, bezimienne, niezbadane i tajemnicze.

Królin w powiecie mościskim ma ich dwie. Mają one nazwy właścicieli gruntów, na których się znajdują a właścicieli obecnych, więc nazwy te są współcześnie powstałe. Jedną nazywa lud „Toflową“, drugą „Kozulową“ *mohyłą*. Wznoszą się one na dwóch przeciwległych wzgórzach, otaczających zaciszną, w uroczej kotlince położoną wioskę. Na „Toflowej“ mogile zasadziła ongiś jakaś dobroczynna ręka czereśnię. Drzewo to rozrosło się i wpuściło szeroko w mogiłę korzenie, lecz przyszła starość, konarów z każdym rokiem ubywa, bo je łamią wichry, a drobne gałęzie niszczą psotnicy polni. Dzięki tej okoliczności, że mogiła znalazła się na granicy dwóch

gruntów — nie plantowano jej chciwie, a tylko jeden i drugi sąsiad przy każdej orce uszczknie ukradkiem skibkę, a ponieważ czynią to obydwaj — jeden drugiemu nie przeszkadza.

Tofel, od którego mogiła ma nazwę, a który przed paru laty umarł — miał wielkie poszanowanie dla tego tajemniczego skrawka ziemi. Nie podkopywał darni, nie szarpał motyką, bo to ziemia święta, poświęcona umarłym, mniejsza o to, co zacz oni byli. Często nawet widywano go w niedzielne ranki wiosenne lub letnie, jak wracając od koni zdejmywał czapkę, żegnał się trzy razy i szeptał modlitwę za poległych i tu pochowanych.

Podanie bowiem mówi, że tu w miejscu spoczywają nietylko bisurmany, ale i nasi. A tę mogiłę wznieśli nasi przodkowie, obrońcy ojczyzny, nosząc każdy po odrobinie ziemi. Nie trza więc psuć dzieła tysięcy rąk. Takiego zdania był nieboszczyk Tofel, ale innego zdania są jego następcy, a już wręcz przeciwnego zdania są Kozulowie, ojciec i syn. Mogiła, na ich gruncie wzniesiona jest podwójną tj. są dwie obok siebie mogiły, jak dwie siostry bliźniacze. Snać w jednej spoczęli „niewierni“, a w drugiej swoi, lecz w której? Żadnego napisu, żadnego znaku. Przed kilkoma laty obywatel z sąsiednich Stojaniec, p. Śmiałowski rozpoczął na jednej rozkopywanie lecz podobno niczego się nie dokopał prócz kości. W pozostałym stąd dole nagromadziła się woda, która, zdaniem włościan, ilekroć w Stojańcach uderzono w dzwony — drgała, jakby się w niej coś gotowało. Bali się trochę ludziska, a tymczasem Kozula, typowy chłopski sceptyk i niedowiarek począł śpiesznie dół zasypywać i obydwie mogiły plantować. Zorał je następnie, zasiał i otrzymał bardzo obfity plon na nieuprawianej od wieków glebie. A jest tego pola na obu mogiłach cała „połójka“ t. j. około morga. Od tego czasu Kozulowie systematycznie co roku usuwają ziemię z mogił, wyrównywują grunt i za lat kilka może nawet śladu nie pozostanie po tej pamiątce odległych wieków!

Zniknięcie tych mogił, aczkolwiek bezimiennych historycznie, będzie wielką szkodą tak dla miejscowej ludności, jak i dla kraju. Istnienie ich, ich widok przypomina przeszłość, nasuwa rzewne myśli i rozpamiętywania, cześć budzi dla przodków, co na okolicznych polach walczyli za swoją wiarę i ojczyznę, za tę ziemię tak drogą, ukochaną, a tak niemiłosiernie rozdrobnioną obecnie i porytą miedzami.

A mogił takich w kraju jest wiele. Prawie w każdej wsi na Rusi ze wzgórza widnieją. Wszystkim zagraża ten sam los, co w Królinie, jeśli, rozumie się, już ich do tego czasu nie spotkał.

Artykułem niniejszym chciałem zwrócić uwagę konserwatorów, pod których opiekę niewątpliwie należeć powinny i kurhany. Szkoda zniszczyć to, co wieki przetrwało, szkoda!...

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Hipolit Taine: O ideale w sztuce z dzieła „Philosophie de l'art“ cz. V streścił Stanisław Brzozowski. Książki dla wszystkich No 311, wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

Celem sztuki jest ujawnić jakąś cechę zasadniczą i wydatną w sposób bardziej wyraźny i zupełny, niż to czynią przedmioty rzeczywiste. Wyobrażenie takiego przedmiotu z jakąś silnie zaakcentowaną cechą zwie się ideą, przedmiot sam idealnym, lub krótko: ideałem, o ile zgadza się z ideą. W sztuce widzimy i d e a ł y, idee jako koncepcje umysłowe artysty możemy tylko odgadywać. Jeden i ten sam przedmiot może być rozmaicie w sztuce przedstawiony, gdyż rozmaite cechy można w nim akcentować. Przykład wymowny na to mamy w tem, że różne epoki różnie te same tematy przedstawiały. (Szkoda, że autor nie powiedział bliżej, czy w s z y s t k i e przedmioty nadają się do traktowania artystycznego a w s z y s t k i e cechy do wyróżniania?) Wśród całego szeregu cech, jakie sztuka odtwarza, istnieją cechy więcej lub mniej stałe i ta okoliczność decyduje o ich randze artystycznej. Najtrwalszymi są cechy tkwiące korzeniami w gruncie rasy danej organizacji artystycznej. „Nawarstwowanie geologji moralnej nadaje wartość dziełom literackim, nawarstwowanie to wyrażającym (str. 32). Genjusz daje wyraz rasie. Genjusz malarzy i rzeźbiarzy przedstawia rasę ciał, genjusz poetów rasę dusz. Im artysta jest głębszy, tem głębiej wyraża usposobienie swojej rasy. Istnieją postacie sztuki wyższe i niższe; najniższymi są typy realistyczne — najwyższymi wieszcze, zbawcy i bogowie. W dziele sztuki wrażenia artystyczne powinny być zbieżne, t. j. powinny dążyć solidarnie do jak najplastyczniejszego ujawnienia cech istotnych w sztuce. Na tem polega dośrodkowa sztuka kompozycji.

T. M.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.